

Wiech
Opowiadania powojenne

Tom V
Koza w kagańcu

Wiech

Stefan Wiechecki

KOZA W KAGAŃCU

vis-à-vis
etiuda

Kraków 2023

[Kup książkę](#)

Koza w kagańcu

Nie rozumie poniekąd ludzi, którzy się cieszą, że w tak zwanej Warszawie przyszłości nie będzie tramwaj, tylko metro, autobusy i trajlebusy.

Jak tam będzie z metrem, nie wiem, bo osobiście jeszcze nie znam. Ale niech kto spróbuje przewieźć autobusem albo trajlebusem trzydziowie bieliźniarkie z lustrem, podwójny spacerowy wózek dla bliźniaków albo mleczne koze?

A tramwajem się wozi. Sam raz pomagałem ładować. Przed Cedetem w Jerozolimskiej Alei najczęściej się to odbywa. Jak dają blaszane kubły, wszyscy pasażerowie na tem przystanku z kubłami wsiadają, jak balie, to z baliami.

Jednego dnia dziecinne wózki się w Cedecie pokazali. Patrze, jakaś mamusia podjeżdża pod tramwaj z lemuzynką, dwóch jednakowych chłopaczków, jak dwa jabłuszka, w niej siedzi, totyż przyglądałem jem się z przyjemnością. A ta mamusia jak nie krzyknie na mnie:

– Co pan oczy wytrzeszczasz, zaczem pomóc karmiącej matce? Trzymaj pan Olesia!

To ja łapie na ręce jednego chłopczyka, a drugą targam lemuzynkę do tramwaju. Ale podwójna, za szeroka, nie włoży mnie.

– Jak pan wkładasz? Kółeczkami na bok trzeba. Cały lakier obtarł, ślepa komenda.

To ja, ma się rozumieć, obróciłem kółeczkami na bok, ale przygniotłem troszkie bliźniaka, któren tak mnie zaprawił między oczy grzechotką w kształcie niedużego traktora, że wszystkie gwiazdy mnie się pokazali o dwunastej w południe.

Ale jakoś załadowało się lemuzyńkie i bliźniaków i pojechaliśmy. Ponieważ że była już na placformie bieliźniarka i maszyna do szycia, bo ktoś się tramwajem przeprowadzał, stojąłem troszkę na wylocie i na każdym zakręcie zmuszony byłem łapać się za olejander, którego trzymał ten ów facet, co się przeprowadzał. Cafał kwiatek raz i drugi, a koniec końców zaznacza:

– Co pan chcesz, żebym szczawiowe zupe w miejsce pokojowej roślinności przywiózł na nowe mieszkanie?!

I odstawił olejander pod barierki. Byłby go może dowiózł, żeby nie koza. Bo i koza jechała tem tramwajem. Wszyscy myśleli na razie, że to chart, bo w kagańcu była i za psiem biletem podróż odbywała. Właściciel olejandra też się nie połapał i tylko uważał, żeby się stworzenie tyłem do doniczki nie odwracało, bo w razie czego olejander by mu usechł.

Koza na to jak na lato, frontem do kwiatka się ustawiła i mimo kagańca zaczęła go wtrajać. Zaczem spostrzegł, połowe liści wsunęła.

No to ten ów facet skompinował nareszcie, co się święci, i zaczyna raban toczyć, jakim prawem koza tramwajem jeździ i żeby ją wysadzić. Ale pasażerowie na dwie partie się podzielili, jedni krzyczą:

– Niech koza wysiada!

A insi:

– Niech jedzie dalej, raz bilet posiada, ma takie same prawo jak i pies!

– W ogólności czym koza gorsza od psa?

– Gorsza? Lepsza! Pies bumelant, a koza zwierzyna produkcyjna, z mleczarskiej branży. Niech jedzie!

I pojechała. Tylko ten, co miał olejander, zastawił go swoją osobą. Koza się zdenerwowała i – jak mu nie odpuści „byka” w pierwsze krzyżowe – z olejandra szpinak się został.

Byłoby się może większe nieporozumienie towarzyskie z tego wywiązało, żeby nie to, że dojechaliśmy do Ząbkowskiej i wszyscy zaczęli żywo wysiadać. Kwiatek faktycznie wsiąkł, ale wszystko inne dojechało zdrowo i w całości.

Czy w autobusie albo trajlebusie byłoby to możliwe? –
Nigdy w świecie.

Co nam metro pokaże, dopiero zobaczem.

Hotello

Pan Piecyk jest zapalonym teatromanem. Wiedziałem o tym od dawna, toteż spotkawszy go w bufecie na „Ladacznicy z zasadami”, przywitałem bez zdziwienia szablonowym pytaniem:

– Jak się panu podoba ta sztuka?

– Murzyni modne! – odrzekł pan Teoś, zaciągając się papierosem.

– Co?

– Nic, mówię, że Murzyni w obecnym czasie w modzie. Do jakiego teatru się pan nie wybierzesz, dwóch, trzech ich przedstawia, a już najmarniej jeden.

Podobnież artyści, co ich podgrywiają, nie myją się z czarnej farby już po parę miesięcy – nie opłaci się jem, bo wiedzą, że w następnej sztuce znowuż za Murzynów będą.

Żony jem w domu raban podnoszą, do pościeli nie chcą puszczać, ale żaden się nie myje. Bo faktycznie, za dużo by mieli roboty szorować się i znowuż mazać. A tak wsadzi jeden, drugi łeb w piec, sadzami się przypudruje i gotów na scene.

I to nie tylko w Warszawie, na prowincji masz pan to samo. Pare dni temu nazad byłem interesownie w mieście Łodzi. Koleżka wyciągnął mnie do teatru, troszkieśmy się spóźnili i weszliśmy na sale po ciemku. Blandeka już była podniesiona, rozglądam się po scenie, patrzeć – jest Murzyn! Jeden, ale za to grubszy, w starszym wieku i jak się pokazało później – gienierał.

Stał na środku i mowę zawałał, insze artyści za księży byli poprzebierane, a jeden na biało za ojca świętego.

Rozchodziło się o to, że Turki wojne jemu wypowiedzieli, a że duchowieństwu nie wypada się napażać, wynajęli księża tego Murzyna, żeby się za nich z Turkami obleciał. A nazywał się on, uważasz pan, Hotello.

– Ależ panie Teosiu, nie Hotello, tylko Otello nazywał się Szekspirowski bohater, którego pan widział, i nie żadne duchowieństwo to było, tylko wenecki senat, z ubranym na białą dożą.

– Możliwe, ale tu nie o to się rozchodzi, tylko o to, że cham.

– Kto?

– No ten Murzyn. Tak nasz z koleżką zgniewał, żeśmy chcieli się do niego podnieść i na scenę wejść, towarzyskiego alibi go nauczyć. Jego szczęście, że na galerii siedzieliśmy, bo przypuszczam, że derekcja musiałaby publicznie pieniądze za bileta zwrócić, jakby główny artysta w szpitalu się znajdował, ale o tem potem.

Dosyć na tem, że ten ów Murzyn mówi: „Owszem, prosze duchownych osób, mogę knoty Turkom spuścić, ale pod warunkiem, że katolickie kobiety pod tytułem Desdymona za małżonkie mnie dacie”.

„Owszem, prosze bardzo – mówią księża – załatwione” – i dali jem ślub. Ale nadleciał ojciec tej kobiety i mówi, że mowy o tem być nie może, bo by się nie mógł z czarnem zięciem w towarzystwie pokazać. Ale ponieważ że ona się zgadzała, Murzyn zaczął się do teścia stawiać: „Odszczek, tatuś, od nowożeńców, bo będzie niedobrze. Widziałem mentyrki, Desdymona jest pełnoletnia i pozwolenstwa rodziców nie potrzebuje. – Chodź, Mondzia, do domu noc poślubne uskuteczniać!”.

I poszli, pokazało się potem, że stary Desdymony miał racje. Murzyn okazał się skończonem żłobem i niemożebny w pożyciu.

Tak się złożyło, że sąsiadka, cholera, ukradła murzynowej chustkie od nosa, którą on jej dał w prezencie... Co ten lebiega o te chustkie za grandy toczył, to pan pojęcia nie masz. Trzy godziny nas wszystkich męczył, a najwięcej żonę.

Na wojne nie chciał jechać – tylko tam i nazad ganiał i gdzie chustka, się ciągle pytał. Żona szuka wszędzie, nie może znaleźć, to koniec końców dla świętego spokoju mówi na jury, że w praniu.

Jak oparzony wyleciał, za chwile jest nazad, widocznie na górze był, przejrzał na sznurach całe pranie i wiesz pan, co zrobił... w morde jej dał przy ludziach.

Wtenczas to właśnie chcieliśmy z koleżką iść do niego na te scene. Kobieta, łobuzie, bijesz o głupie chustki za dzie sięć złotych.

Ale na tem nie koniec. Jeden oficer, którego na posade gienierała lefrektował i chciał Hotella z niej wyślizgać, do pucu mu natrajlował, że jeden podporucznik do Desdymony uderza. Myślał, że Murzyn podporucznika zimnym trupem położy i do mamra go za to zamkną.

Detalicznie wszystko mu streszczał, jak podporucznik się z jego żoną podbawiał. Ten niby też to słucha, ale durch powtarza: „Gdzie chustka i gdzie chustka?”

I wiesz pan, jak się skończyło: przeliczył jeszcze raz bielizne z magła i udusił żonę – ponieważ że chustki nie było.

W tym miejscu przerwał nam rozmowę dzwonek na zakończenie ostatniego aktu „Ladacznicy”.

Firma „Lalka”

Na Krakowskim zatrzymała się grupa turystów. Poustawiali na chodniku walizeczki i otoczyli zwartym kołem przewodnika, który donośnym głosem udzielał im objaśnień.

Przystanąłem, nie dlatego, by było w tym coś niezwykle go. Warszawa jest teraz miastem „turyistycznym”, nie gorszym od Rzymu, Aten, Łowicza czy Krakowa...

Zafrapowały mnie atoli objaśnienia.

– Jeżeli o wiele rzuciem teraz okiem ciut-ciut na prawo, to cóż my ujrzem? – mówił przewodnik. – Ujrzem na słupie

osobę płci żeńskiej w siedzącej pozycji, z arbuzem czyli też inszą dynią w ręku. Kto to być może ta kobieta? – zapytamy się sami siebie. Ale wzruszę tylko ramionami, bo w żaden żywy sposób nie będę się mogli domyślić, że to nie jest żadna kobieta z arbuzem, tylko niejaki Mikołaj Kopernik osobiście i własnoręcznie. A arbuz nie jest arbuz, tylko globus, który jest odrobiony z żelaznych giętych flachajz, bo naturalny, czyli dechturowy, długo na deszczu by nie wytrzymał, pomarszczyłby się i wyglądałby jak torba jabłek czy inszych pomidorów. Kto był Mikołaj Kopernik, tego już nie potrzebuję objaśniać, bo każdy pętał w szkolnym wieku nam powie, że w charakterze dyrektora PIM-u się zatrudniał, czyli żył z przepowiadania niepogody.

Dlaczego w damskiej konfekcji jest tu odrobiony, detalicznie nie wiadomo i stanowi to tak zwaną tajemnicę historyczną.

Teraz, o wiele spojrzem ciut-ciut na lewo, widzę kamienicę dwupiętrową, osiem okien frontu i zapytam siebie, dlaczego żeśmy się faktycznie na nią spojrzeli.

Bo kamienica jak kamienica i niczem się na oko nie odznacza. A mimo tego stanowi tak zwany zabytek, chociaż jest świeżo od samych fundamentów przez przodowników pracy systemem szybkościowym wybudowana.

Otóż w tym świeżo wybudowanym zabytku niejaki Bolesław Prus kilkadziesiąt lat temu nazad prowadził skład zabawek pod firmą „Lalka”.

Otóż ten Prus Bolesław zaczął uderzać do jednej hrabini. Ta owa hrabini, chociaż była mocno mortusowa, a Prusoszczak miał forsę jak lodu, z miejsca go obcięła. „Skarz mnie Bóg, fi donc, nie wyjde za prywatne inicjatywe!”

Bolka nagle krew zalewała, celinder sobie kupił, derożkie na godziny wynajął, stale i wciąż po cukierniach i interesach gastronomicznych przesiadywał, hrabiom kolacje stawiał, z księżkami na per ty był, ale to nic nie pomogło.

Hrabini owa, choć sama marnego charakteru była, jednak stale i wciąż swoje: „Niech ja skonam, fi donc – nie wyjde za prywatne inicjatywe!”

I dawaj z hrabiami do Saskiego Ogrodu na ksiuty uczęszczać.

Bolek za fontanne się chował, widział to i cierpiał na serce.

Rzecz jasna, że w tych waronkach interesu nie mógł jak się należy dopilnować i firma „Lalka” zaczęła podupadać. Subiekci towar pod jesionkami wynosili i na Kiercelaku opylali. Gumowe piszczące lalki, czyli naguski, szmaciaki w krakowskich strojach, wszystko to za pół darmo na lewo można było nabyć.

A tu podatek za podatkiem leci, licytacja licytacji goni. Trzy razy sztuczne plaży urządzał, ale to nic nie pomagało. Gryzł się, zmizerniał w oczach i krugom się hrabinie oświadczał. A ona na to tylko wciąż, że nie i nie!

Coraz niżej ten Prusoszczak upadał – ryze papieru kupił i powieść zaczął pisać w czterech tomach. Pod tem tytułem: *Lalka*. Tam te hrabinie na perłowo zrobił bez sercowe zemste. Sam pod Częstochowe na letniaki wyjechał, ale przedtem u Spiessa kilo kalifloru kupił i siarki kilo. Do walizki wsadził i na letniakach kamień wyszukał, dziure w niem kazał wybić. Pigule z kalifloru i siarki skutecznił, list skopiował do Urzędu Skarbowego, że życie sobie zmuszony jest odebrać, i razem z tem kamieniem w powietrze się wysadził.

Rzecz jasna, że do pucu – wybuch faktycznie był, kamień w kawałki się rozleciał, ale on w ostatniej chwili odskoczył i zza węgła na całą eksplozję kapował.

Potem, już jako nieboszczyk, do Radomia się przeniósł i tam fabrykę cukierków założył pod firmą „B. Pruszkowski i S-ka”. Książka była do płaczu i pouczająca, toteż na te pamiątkie w tem danem domu, który tu widziem, tablica się została wmurowana ze streszczeniem całego wypadku.

No ale dosyć o tem Prusie – przerwał przewodnik, spojrzawszy triumfalnie po słuchaczach – teraz pójdziem troszkie dalej i pokażem państwu szanownemu, co się robi z ulicą Świętokrzyską. Nowa trasa tamtędy poleci, na tle zażdrości.

– Dlaczego na tle zazdrości? – zapytał jeden z wycieczkowiczów.

– Dlatego na tle zazdrości, że inszych inżynierów zazdrość wzięła na tych, co Trase Wuzet wybudowali, i mówią: „My wam pokażem sztuki, ulice Świętokrzyską, gdzie dawniej starzyzne się tylko sprzedawało, w taką trasę zamieniem, że wam oko zbieleje”. Tak jem powiedzieli i już machają.

Ruszyłem z wycieczką w stronę Świętokrzyskiej. Po drodze zagadnąłem przewodnika:

– Bardzo pana przepraszam, pan jest tu z czyjego ramienia?

– Z żadnego ramienia, tylko z Powązek jestem. Warszawski rodak z dziada pradziada samodzielnie Warszawę ludziom pokazuje, bo się kręcą jak w przeręblu i sami nie wiedzą, gdzie się obrócić. Ja jeden wiem, co warto zobaczyć, a teraz tak się buduje, że naprawdę jest co oglądać!

„*Letkomyślna siostra*”

– Teatr Rozmaitości! Tylko szybko, bo późno – zawołałem do szofera lekko rozklekotanej taksówki warszawskiej.

Mechanik, poważny tęgi pan, nie śpiesząc się, nacisnął starter, obejrzał się na mnie i rzekł:

– Zdamy, kupa czasu. A pozwoli pan szanowny, że koleżkie po drodze na plac Zbawiciela podrzuce?

– Proszę bardzo!

Kierowca skinął na stojącego nie opodal szczupłego skromnie ubranego blondyna.

– Panie Kwiatek, walcuj się pan.

Pan Kwiatek wszedł i ruszyliśmy. Po drodze między znajomymi zawiązała się dyskusja. Okazało się, że mechanik, oczekując na jakiegoś pasażera, był przed kilku dniami na *Lekkomyślnej siostrze*, w teatrze, do którego właśnie śpieszyłem. Dzielił się teraz z kolegą wyniesionymi ze sztuki wrażeniami.

– Jeden facet z prywatnej inicjatywy miał siostrę Manię. Ciężka w pożyciu była to osobistość, a już jak wiersze zaczęła pisać, było widoczne, że źle skończy. I faktycznie, męża z dzieckiem przy piersi rzuciła, do miasta Wiednia pojechała i tam za tak zwane nocne życie się zatrudniała.

– To znaczy się, że za kogo? – zapytał pan Kwiatek.

– Znaczy się, że na letkomyślny chleb poszła.

– Jaki to jest letkomyślny chleb?

– To z pana chomąt, jak pragne zdrowia... No nie wiesz pan? Kontrolną się została.

– Teraz rozumie.

– No i uważasz mnie pan, dokąd siedziała w tym Wiedniu, rodzina nic nie mówiła. Ale ona od razu, ni z tego, ni z owego, buch w pociąg i do Warszawy jedzie. Wtenczas, ma się rozumieć, w rodzinie się zakotłowało. Mojra niemożebnego dostali, co to będzie.

– Czego się zlekli?

– Jak to czego? Nieprzyjemności i kompromitacji.

– Z jakiego powodu?

– Z powodu podchodu. Wyobraź pan sobie, że ta Mania zrobi kogoś na podchód, że rąbnie zegarek czyli tyż pekiel z forszą, bo taka się z niczem nie liczy. To do kogo Urząd Śledczy przyjdzie? Do rodziny! U nas na Marymoncie jeden krawiec miał taką letkomyślną siostrę, co lubiała „siódme” zrobić, to jak jednemu kolejarzowi kazonny zegarek z portretem parowozu wyrzeźbionem na kopercie podwadziła, to zaraz przyszli do rodziny z rewizją. Zegarek co prawda śledzia zjadł, kamień woda, ale szwagier tej letkomyślnej i tak sześć miesięcy zarobił, bo bimbrownie nowocześnie urządzoną mimowolnie u niego znaleźli – aparat na chodzie i dwie beczki zacieru.

To się pytam pana szanownego, może taka rodzina skompromitować czy nie może? Miała się rodzina tej owej klawiutkiej Mani czego obawiać czy nie miała?

– No faktycznie, że miała.

– Totyż, uważasz mnie pan, jak w drugim akcie drzwi się roztwierają i wchodzi ta kontrolna, w bratowe jej jakby pieron

trząsł. Szczerwieniła się, a potem zrobiła się biała jak prześcieradło i krzyczy:

„Proszę wont stąd! Niech kontrolna wyjdzie! Mój mąż poważne interesa prowadzi i komisje specjalne może nam kontrolna na łeb ściągnąć!”.

– No a te nocne życie co na to?

– Usiadło i siedzi, mówi, że nie tylko nie wyjdzie, ale na stałe swoje firmy do Warszawy przeniesie.

Bratowa o mały figiel nie zakitowała na serce, ale nadleciała cała rodzina oraz jakiś szpicbródka, podobnież bywszy mąż tej Mani, i taki jej dali popęd, że koniec końców pojechała nazad do tego Wiednia.

– No i na tem koniec?

– Ale gdzie! Uważasz pan, potem w kurierze przeczytali, że jakiś austrijacki gienierał w starszym wieku zakochał się w tej Maniusi i w krótkich abugach kojfnął. Ale przedtem testament skopiować kazał, że pół miliona tej swojej miłości zapisuje.

– To niemożliwe.

– Co niemożliwe, żeby kojfnął?

– Nie, żeby zapisał forse takiej lepszej facetce.

– Niemożliwe? Życia pan nie znasz, na Bródnie przed wojną starszy przodownik tak się w jednej takiej „Feli” zamażał, że budkie z wieńcami pod smentarzem przy samej bramie jej założył. Miłość nie dostrzega czarnej książki.

– No i co było później, rodzina jej, ma się rozumieć, przebaczyła?!

– Jak byś pan zgadł, telegrame pchli do niej, żeby do Warszawy żywo przyjeżdżała. Kolacje i kwiaty naszykowali. Rzecz jasna forse chcieli od niej nażyć. Weksle już byli przygotowane, już sobie kieszenie na te kafle i górale szykowali, ale ona była cwańsza, niż jem się zdawało.

Przyjechać przyjechała, kolacje wrąbała, kwiaty wzięła, ale grosza jem nie dała. „Nie przyjęłam tego spadku – mówię – nie chce takiej forsy”.

Nie masz pan pojęcia, co się wtenczas działo. Rodzina o mały figiel oknami nie powyskakiwała. A ona, ma się rozumieć, chodu.

– Rzecz jasna, że z tem nieprzyjęciem spadku to puc?

– Wiadomo – bajer! Forse wzięła i rodzinę do wiatru wystawiła. Szemrana! – skończył szofer z uznaniem.

Jakoś niechcący wciągnąłem się do tej ciekawej rozmowy.

– A jak się panu podobała wykonawczyni głównej roli, nasza znakomita Eichlerówna?

– Owszem, nie można powiedzieć, bardzo doskonale odgrywa. Tylko taka jakaś troszkie jakby była śpiąca.

– Co pan chcesz! – wtrącił się znajomy kierowcy. – To z tego trybu życia: w nocy nieczasowa, a w dzień co to za spanie... Sam wiem, bo piekarz jestem!

W teatrze potem stwierdziłem, iż to, co szofer i pan Kwiatek brali za senność Mani – było mistrzowsko oddanym przez Eichlerównę przemęceniem życiowym bohaterki sztuki.

Nieżyciowy zakaz

– Widziałeś pan, panie Krówka, ten tramwaj z wieczną ondulacją?

– Nie rozumiem pana szanownego. O czym pan mówisz?

– Jak to o czym mówię! O tem tramwaju z damską obsługą na sto procent. Wszystko, uważasz pan, w żeńskim rodzaju: motorniczcy, dwóch konduktorów i kontroler także samo w kolczykach.

– Wiesz pan, że nie zauważyłem.

– To żałuj pan, jest na co popatrzeć. Ja, uważasz pan, w pierwszej chwili nie wiedziałem, o co się rozchodzi. Wsiadam sobie do motorowego wozu, patrze, konduktorka się znajduje, no to swoja rzecz w Warszawie, kupiłem bilet i prze-

chodze na pierwszą platforme. Patrze i oczom nie wierze. Przy korbie stoi motorniczy nie motorniczy. Od góry wszystko w porządku: czapka, mondur, a u dołu coś mnie się nie zgadza, spodni nie ma, tylko nylony. Przyglądam się bliżej, patrze, kobieta za tramwajarza przebrana.

Kręci korbą, na dziewiątkie przestawia, na zero przerzuca, dzwoni nogą i w ogóle, uważasz pan, prowadzi. A tu jak raz taksówka nam przelata przed samem nosem, jużem chciał wyskakiwać, a ona, panie szanowny, ciut-ciut przyhamowała, przepuściła taksówkę i jeszcze obsztorcowała szofera na perłowo ze szlaczkiem, zupełnie jak naturalny, ma się rozumieć, motorniczy.

Ja, uważasz pan, jeszcze nie bardzo miarkowałem, o co się rozchodzi, a że chciałem detalicznie wiedzieć, jak to jest, kłaniam się jej i zapytanie robie:

„Dlaczego pani szanowna osobiście w charakterze motorniczego się fatyguje, czy to w zastępstwie męża? Szanowny małżonek broń Boże chory czy tyż tylko ma wychodne?”. Spojrzała się na mnie tak, że z miejsca wysiadłem.

– A po mojemu to się nie utrzyma.

– Dlaczego?

– Dlatego, panie szanowny, że trzy kobiety nie dadzą rady paru setkom pasażerów, a niech się tak jeszcze dwóch, trzech pijanych trafi...

– To pan życia nie znasz. Na kobiecie nie ma cwaniaka. Już historia starożytna nasz o tem poucza. Historyczne faceci, co na polu bitwy waśniaków niemożliwych odstawiali, w domu, przy żonie, dudy w miech. Weź pan takiego króla Sobieskiego, co Turka pod Wiedniem wykołował – w Wilanowie w skarpetkach koło Marysienki chodził. Albo taki gienierał a la Nelson, co zrazy z grzybkami wynalazł. Na wojnie lał, kogo chciał, a jak przyjechał na urlop, żona go do kuchni zaganiała i musiał obiad z trzech dań z kompotem dzień w dzień gotować. Jeszcze na głowie stawał, żeby tej choleryze smakowało – w ten sposób do tych zrazów swojego imienia doszedł. Nie bój się pan, da sobie rade kobieca brygada tram-

wajowa z pełnym kompletem pasażerów – szkoda mrugać. Zresztą warszawiacy, jako faceci z wyższym salonowym wykształceniem, same nie będą kobietom pracy utrudniać.

– No, tak jest, tylko uważasz pan, jak tu mówić do takiej prowadzącej tramwaj funkcjonariuszki? „Motorowa” – nie, bo chociaż musi być kobietą z dużym gazem, motoru nie posiada. „Motorówka” – także samo nie, bo po Wiśle nie zasuwają, tylko po szynach. Będą z tem duże trudności.

– To jeszcze frajer. Gorsza rzecz, że po mojemu kazać kobiecie w charakterze motorniczego pracować to jest w ogólności znęcanie się.

– Dlaczego?

– Katusze będą czasem znosić.

– Jakie katusze, o czym pan mówi, przecież to nie jest taka ciężka praca!

– Jakie katusze? A widziałeś pan napis w tramwaju?

– Jaki napis? „Palenie wzbronione”?

– Jakie tam palenie! Palenie mięta. O innym napisie mówię.

– A detalicznie o jakim?

– Nie wiesz pan? „Motorniczemu zabrania się rozmawiać z pasażerami”.

– To rzeczywiście może być uciążliwe.

– Ale tylko chwilowo, jak będzie więcej kobiet w motorowym fachu, ten przepis musi być zniesiony.

– Jako nieżyciowy.

Kita, czyli byłem murarzem

Na kolejnym zebraniu roboczym sekcji satyry Związku Literatów Jan Szeląg powiedział:

– Literat, a satyryk w szczególności, chcąc opisywać środowisko robotnicze czy chłopskie i życie robotnika czy chłopa, nie może tego robić zza biurka. Trzeba iść do fabryki,

na budowę, na wieś, do PGR czy spółdzielni produkcyjnej i tam na gorąco to życie podpatrywać.

Postanowiłem pójść za jego wskazówkami i udać się do jednego z wyżej wymienionych środowisk. A że nie wyjeżdżając z Warszawy, najłatwiej zetknąć się z robotnikiem budowlanym, przyszło mi na myśl zostać murarzem, oczywiście na czas potrzebny na poczynienie odnośnych obserwacji.

Żeby zaś nie wpaść w środowisko jak intruz, budzący swą obcością zrozumiałą nieufność, dla uzyskania choćby z grubsza murarskiego szlifu udałem się do mistrza Muchy. Mistrza Muchę znam od niepamiętnych czasów. Latem pracował zwykle na budowie, na jesieni wynajmował się z własną gilotyną do szatkowania kapusty, przed Bożym Narodzeniem sprzedawał choinki na placu Żelaznej Bramy. Dziś, jako emeryt, mieszka u dzieci na Kamionku.

Pan Konstanty przyjął mnie życzliwie i gościnnie, a po zapoznaniu się z treścią mej prośby, którą wyłuszczyłem z całkowitą szczerością, po krótkim namyśle odrzekł:

– Żeby się taki szemrany kant z warszawskimi mularzami mógł szanownemu panu udać – to przypuszczam, że wątplie. Taki bajer to na Grójec – warszawski remiecha z miejsca ciapciaka od fachowca odróżni i po szyi za taki kącik humoru można otrzymać, jak się na kogoś honorowego trafi. Ale chcesz pan spróbować, proszę bardzo.

Mularze bywają: winklowcy, czyli klasa pierwsza, które tylko winkle odsadzają. Druga znowuż klasa wali doliny, czyli że dolne mury pod fundamenta; tu już można więcej knocić, bo to i tak pod ziemię idzie. Ale odsadzkarz musi być fachowiec w deche. Na winklu tylko stoi, kielnią cegły podchlapuje i krzyczy: „Dawaj cegłę, dawaj błoto!”.

– Jak to błoto? – zapytałem zdziwiony.

– Błoto, czyli wapno – fachowa nazwa.

Niezwłocznie zapisałem to charakterystyczne określenie w notesie.

– A koźlarze jak mrówki po sztagach z ceglami i kastrami z zaprawą zapychają. A ja nic, tylko na winklu stoje i mur do glajchy odstawiam, i sztorcuje boruchów na czym świat stoi.

– Kogo?

– Co kogo? Boruchów z prowincji, co morgi na wsi zostawiają i na budowe przyjeżdżają tyrać. Jak się źle uwijają, od razu jem krzycze: „Boruch, kto ci będzie morgi kosił, jak ty będziesz wapno nosił”.

Zapisałem natychmiast ten dwuwiersz.

– Koźlarzom pomagają czarnoszyjki, czyli że dziewczyny z Podlasia, co w Warszawie roboty przy mularzach szukają. Można czasem przez grzeczność poklepać taką po łopatkę albo uszczypnąć w pierwszą krzyżową.

Zanotowałem szybko.

– Roboty pilnuje stojak, czyli „karbowy”; jak on widzi, że wieczór się robi i norme trzeba poprawić, posyła po flache i zaznacza: „Stawiam litra na winklu – glajcha i fajrant”. Wtenczas robota żywo rusza i glajcha jest w try miga gotowa.

Umieściłem ten ciekawy pomysł racjonalizatorski wśród notatek.

– Po robocie kaźden jeden mularz kite sobie szykuje...

– Jak to kitę?

– Zwyczajnie, bez kity, czyli że wiązki drzewa na opał, jak starożytne prawo mularskie wymaga, żaden leguralny fachowiec do domu się nie udaje.

Uzupełniwszy jeszcze i tym terminem swój murarski słownik, wypożyczyłem od pana Muchy solidnie pochłapane wapnem jego robocze pamiątkowe ubranie, po czym – przysypany przez uczynnego gospodarza przyzwocie gipsem – wyruszyłem na MDM.

Z przyjęciem poszło nadspodziewanie łatwo – ludzi ciągle mało.

Na razie obsługiwałem elektryczną winde, dowożącą na piętra cegłę i wapno. Byłem troszkę zdziwiony, że nie widać koźlarzy wspinających się z „kozami” cegieł po drewnianych sztagach. W ogóle mnóstwo rzeczy było zupełnie inaczej, niż

powinno być według moich notatek. Ale nie miałem czasu nad tym rozmyślać, bo tempo MDM-u porwało mnie. Po trzech dniach zaawansowałem na pomocnika w trójce murarskiej. A czwartego, kiedy dumny z siebie sporządzałem pod parkanem wielką „kity” opałową do domu, wydało mi się, że to chyba o mnie mówią za stertą cegieł dwaj młodzi robotnicy.

– Ten nowy to jakiś podejrzany facet: gada, jakby z Wiecha czytał, pluje na podłogę.

– Alkoholizm szerzy, o jakiegoś litra na winkiel się upomina?!

– Kolegów z prowincji do wiersza obraża...

– Koleżanki z brygady kobiecej jakimiś czarnoszyjkami nazywa i poklepuje, o mało go jedna łopatą nie zamałowała.

– W ogóle wszyscy mają go dosyć. Życie utrudnia.

– No i drzewo kradnie, ale na tym się wykończy.

Odskokczyłem od „kity” jak oparzony, a oni mówili dalej.

– To chyba jakiś sabotażysta.

– A ja myślę, że on jest po prostu kopnięty. Trzeba by z nim uczciwie pogadać, co i jak. Szkoda by go było z roboty zdejmować, bo może jeszcze wyjść na ludzi. Talent ma w rękę. Wapno pandlą od razu pod dziesięć cegieł podrzuca na medal...

Uciekłem chyłkiem z roboty do domu. Teraz siedzę i rozmyślam, czy iść jutro na budowę. Ale chyba pójdę, bo tam się naprawdę życie chwyta na gorącym uczynku, chociaż wygląda ono zupełnie inaczej, niż mówił mistrz Mucha.

Opera w sklepie komisowym

– Jak się panu podobała nasza opera, panie Teosiu? – zagadnąłem pana Piecyka przy wyjściu z warszawskiej „Romy” po przedstawieniu *Strasznego dworu*.

– No taka znowuż opera to nie jest.